ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Lipca **N.ro 27.** Roku 1842.

SYN SZEWCA.

Nudna téż to rzecz, bakałarstwo. Jak komu; dla mnie nie nudna, bom się w nią z lat bardzo młodych wprawiał z potrzeby. Lubią drudzy pielęgnować kwiaty, ujeżdzać konie, psy układać; mnie się podoba układać ludzi.

Czy to praca wdzięczna, zostawiam osądzenie czytelnikowi. Wiém tylko, że czasem najpiękniéj nakrapiany goździk, mimo starań ogrodnika i zakładanéj karty, przed samém rozkwitnieniem pęknie i w bok wystrzeli, konik najzręczniéj na linewce puszczany, gdy po spuszczeniu z linewki pocznie igrać i skoki wyprawiać, kłąb sobie zbije i staje się pod wierzch nie zdatnym, pies raz ze smyczy się wyrwawszy i zakosztowawszy ściérwa, woli potém owcę w polu niż kota — tak i człowiek może się nie udać; ale są i ludzie dobrego miotu, nawet rasowi, nad którymi nie żal się trochę i pomęczyć.

Zresztą, do czegoż miałem się udać, kiedy próbując różnych stanów, żaden mi się nie powiódł. Jakto było, opowiem wam, jeźliście ciekawi:

Mój ojciec byłto sobie zacny obywatel miejski, zawołany majster szewc. Perorował na cechowych schadzkach, nosił cechową chorągiew na procesyi, zaczynał co święto przez nos godzinki u św. Mikołaja i miał domek na Chorążczyźnie, więc o swoim stanie wysokie miał wyobrażenie, i każdego ze swoich pięciu jedynaków (tak nas nazywał, a miał téż i sześć jedynaczek) chciał mieć szewcami.

I ja myślałem, że nié ma nic godniejszego nad szewca, ale raz odnosząc jednemu panu bóty, postrzegam kilkunastu studencików grających w piłkę, tak wesoło, tak zabawnie, że i mnie się podobało grać z niémi. — »Pójdź precz szewcze!« zawołali wszyscy i odepchnęli mnie. Dostał ten co był najbliżéj dobrego szturchańca, ale potém trzeba było jeszcze raźniéj zmykać, żeby się z całą zgrają nie mierzyć. To wielcy panowie, pomyślałem sobie, a ja prosty rzemieślnik, nie bratajmy się z nimi. Jacy śmiészni! dobrzeby im było grać w piłkę boso, gdyby szewców nie było?

Minęło kilka miesięcy, patrzę przez okno: trzech małych kominiarczyków postawiwszy drabinki na boku, porzucawszy miotły i patynki, boso układają bałwana ze śniegu naprzeciw naszego domu. Co za myśl piękna! Nuż i ja przy nich, chcę dopomódz. »Nie daj szewcu — odpędź szewca!« — i wzięli się do swoich mioteł. Ja w nogi, ale odtąd straciłem ochotę do mego wzgardzonego rzemiosła, i prosiłem ojca, żeby mnie oddał do kominiarza. — »Żebyś kark złamał z dachu? Jeszcze czego? Albożto tobie źle być szewcem? A wiész ty, że nawet sam Cesarz bóty nosi? Ucz się chłopcze, a jak wyjdziesz na dobrego majstra, możesz jeszcze kiedy robić bóty nawet dla pana gubernatora.«

Nie było rady na upor ojca, ale i ja téż się uparł. Takem mu źle szył, takem psuł skórę, a napominanie i bicie tak nie pomagało, i jeszcze często matka wypraszała mnie i broniła, że straciwszy nadzieję zrobienia ze mnie dobrego szewca, musiał inaczéj o mnie radzić, abym mu darmo chleba w domu nie zjadał. Ale szewskiego syna, w jego rozumieniu, żadne inne rzemiosło nie było godne, chciał mnie więc do sztuk wyzwolonych obrócić, i oddał do malarza pokojów (bo u nas i tacy bazgracze malarzami

się zowią). Póki trzeba było farby rozcierać, szło to nie źle, tylko ilekroć przyszedłem do domu, swarzył ojciec za zwalane suknie, ale gdy piérwszy raz postawiono mnie na rusztowaniu, myślałem, że ja już artysta, wielki człowiek; zapatrzyłem się na piękny rysunek, węglem u sufita po patronie zaznaczony, który miałem kolorami ożywić — zadumałem się o mojéj przyszłéj sławie, jak ja będę za czasem malować pałace, nawet kościoły, i zapomniawszy gdzie stoję, chcąc krok na bok postąpić, tak źle stąpiłem, żem upadł na podłogę, w padaniu rozbił sobie o rusztowanie głowę, stłukł bok i zwichnął nogę. Naciągali mi ją, okładali całego wodą, potém pijawkami, zanieśli do szpitalu, gdziem sześć tygodni biédował.

Po wyjściu, już ojciec nie chciał żebym się piął na wysokości, i wolał znowu obrócić do dratew, a jam prosił, żeby pozwolił chodzić do szkoły, bo mi od owéj piłki zawsze tkwiło w pamięci, jakto student ma być coś lepszego od szewczyka.

— »Dobrze i tak«, odpowiedział ojciec. »Z ciebie chłopiec ciekawy, jeźli będziesz się dobrze sprawował, możesz wyjść na ludzi, możesz i księdzem zostać, — ale ja ciebie próżniaku darmo żywić nie będę — chcesz chodzić do szkoły, to służże i ucz się.«

Zdarzyła mi się służba u jednego profesora, który trzymał siedmiu paniczów.— Ciężka to była służba. Jeść nie dostawałem, tylko co zeszło na półmisku i talérzach, a panicze mieli apetyt dobry — a wszystkim usłuż, każdemu dogadzaj. Ten żąda wody, tamten posyła po bułkę, ów po książkę do kolegi, a inny do krawca, lub z brudami do matki, wszystko prędko. Tego bót nie dość się świéci, temu guzik się urwał, i szturkali przytém i łajali; wszystko trzeba było znosić, bo poskarzyć się na którego, to potém jeszcze gorzéj. Tylko latem wstając bardzo rano, a w zimie, kiedy panicze spać się pokładli, pozbiérawszy ogarki świéc, poczyściwszy im bóty i suknie, póki wystarczyło ogarków, mógłem się uczyć lekcyi mojéj na jutro, szczęście, żem był pojętny, a mało mając czasu do uczenia się w domu, musiałem w szkole bardzo uważać, i ten przymus wykierował mnie na dobrego ucznia.

Po trzech latach, gdym już dobrze czytał i pisał po niemiecku i po polsku, mydlarka, która przedawała świéce w tym domu gdzieśmy stali, widząc, iż wracam z egzaminu z czérwoném pozłocistém *premium* pod pachą, spytała mnie, czybym nie chciał u niéj uczyć dzieci. Ja na to, jak na lato. Mydlarka mieściła mnie u siebie i żywiła, a za drugie dzieci od krupiarza, miałem po dwa złotych Reńskich miesięcznie na odzież.

To początek mego bakałarstwa, z któregom się już odtąd utrzymywał przez cały ciąg moich nauk. Początek tak był trudny, jak we wszystkiém. Ja sam taki młody, potrzebowałem kogo, coby mnie prowadził, a mnie kazano prowadzić drugich — jam jeszcze pieska nie wyuczył służyć, a musiałem ludzi uczyć — musiałem, bo to był mój chléb, ale chléb gorżki.

Jeden mój uczeń był pojętny bardzo ale pusty, przy lekcyi nie uważał, po niéj, wołał biegać jak posiedzieć nad książką, drugi spokojny, pilny, ale z trudnością mógł się co nauczyć; trzeci był tak uparty, że kiedy się zaciął, piecz go szynami, głosu z niego nie dobędziesz, czwartego matka psuła, i słowa mu nie było można powiedzieć, żeby zaraz się nie rozpłakał, i nie uciekał do matki — a jeźli się egzamin nie powiódł, nikogo nie winiono, tylko dyrektora.

W głowę zachodziłem, jak tu sobie dać radę z témi malcami. Rozpacz mnie czasami brała. Nie umiałem z razu nadać sobie powagi, tylko zimną i surową postawą, ostrém prowadzeniem, dyktatorskiém rozkazywaniem. Gdy to nie szło i nie było mi do twarzy, chciałem być dobrym, bal jeszcze gorzéj; chłopcy się spoufaliły i nie miały mnie za nic.

Uważał ja, że profesor, u któregom trzy lata służył, był nie dla każdego i nie zawsze jednaki — raz łagodnie, drugi raz surowo postępował — co jednemu słówkiem zganił, za to drugi klęczał, albo jeszcze co więcéj. I czasu jednym więcéj jak drugim poświęcał. I po profesorach w szkole, coś podobnego uważałem.

Jam tę nierówność w obchodzeniu się, miał za stronność profesorów, za fawor i niełaskę, które różnym ubocznym na rodziców względom przypisywałem, i bardzo

mnie to obruszało, sam więc postanowiłem być zupełnie bezstronnym, alem nie dobrze na tém wychodził, bo jeden wybity śmiał się i zaraz po dawnemu dokazywał, a drugi raz uderzony stracił przywiązanie do mnie i ochotę do nauki na zawsze.

Zdarzyła mi się lekcyja u jednego ogrodnika, który mi nie bronił przychodzić uczyć się w cieniu. Po nauce bawiły mnie jego kwiatki i grządki jarzynne, zazdrościłem mu, że u niego tak wszystko rośnie, zieleni się, kwitnie, a on mi raz powiedział:

»I ty masz rośliny do pielęgnowania«, i wskazał na swoje dzieci, które pomiędzy grządkami biegały.

»Moje rośliny«, odpowiedziałem, »nie tak prędko i nie tak wesoło się rozrastają.«

»A czy ty postępujesz z nimi tak uważnie jak ja z mojémi? Czy tak każdéj roślinie dobiérasz właściwéj ziemi, tak według potrzeby więcéj, albo mniéj podléwasz, i tak jedne zasłaniasz od upału, drugie na słońce wystawiasz? Natura każdéj rośliny inna.— Chcąc aby wesoło rosły i kwitły, należy każdéj dostarczyć, co jéj potrzeba.«

Jak gdyby nowe światło zeszło w mojéj głowie, tak mnie uderzyła ta uwaga, że i moi uczniе to są rośliny—i jam do ich natury stósować się powinien.

Nuż ja mojemu mniéj pojętnemu Jasiowi tłumaczyć i objaśniać rzecz dokładnie, dopóki jéj nie pojął — roztargnionego Kazia uwagę to bajeczkami, to żarcikami trzymać w natężeniu — z czułém Józiem obchodzić się łagodnie, naprzeciw uporu Karolka stawić mój upor.

Wszystko zaczęło iść lepiéj—ale nie prędko; przez wiele jeszcze przeszedłem prób i doświadczeń—często brałem się do rzeczy niezręcznie, nie zawszem się poznał na charakterze ucznia, nie zawsze dobrał środków właściwych — nie umiałem téż i mojéj porywczości zawsze hamować — i chcąc wszystko robić prędko, przez niecierpliwość robiłem opacznie.

Dopiéro kiedym filozofii słuchał, kiedy psychologija dała mi głębiéj do wnętrza ludzkiego zaglądnąć, a pedagogika podała środki z rozumowych zasad wywinięte, wtedy poznałem w czémem chybiał, i pewniejszym odtąd postępując krokiem zacząłem lepsze osiągać skutki. — Wtedy dopiérom przyszedł do przekonania, że sztuka prowadzenia młodych ludzi, jeszcze jest piękniejsza od ogrodniczéj i berajterskiéj, a powołanie nauczyciela trudne zapewne i mozolne, — ale ma swoje pewne prawdy i prawidła, i wymaga ludzi dojrzałych, nie dzieci, ani takich, co się sami mało uczyli. Powziąłem więc dla powołania mojego uszanowanie, począłem z większą usilnością pracować nad dopełnieniem jego obowiązków, uważać je nie tylko jako rzemiosło, które mi chléb daje, ale jak ważny w obywatelstwie urząd, a moich uczniów nie jak pieski, które trzeba pewnych sztuczek nauczyć i do egzaminu przygotować, aby za nich wziąć zapłatę, ale jak istoty rozumne, którym trzeba pomagać do rozwinięcia się i wzrostu na ludzi i obywateli.

Lepiéj odtąd pojmując i wyżéj ceniąc moje powołanie, począłem i sam się jeszcze usilniéj do nauk przykładać, i z większą gorliwością drugim ich udzielać, i powierzone memu staraniu dzieci prowadzić. Skutek téż coraz lepszy mi pokazał, że jak w ziarnie spoczywa przyszła roślina z całą zielonością, z ozdobą i wonią kwiatu i obfitością owocu, tak w dziecku spoczywają zarody zdolności, czynów i cnót, a nauczyciel, to ogrodnik, którego jest zadaniem, pomagać tylko naturze.

Tak zrozumiane nauczycielstwo nie jest bakałarstwem — i tak je pełniąc, musiałem je polubić.

A właśnie wtedy przychodziło mi się z nim rozstać. Mój ojciec już nie żył. Matka w siéroctwie i niedostatku największą dla siebie i młodszego rodzeństwa pomoc i najwięcéj zaszczytu dla rodziny upatrywała w stanie duchownym, i do tego musiałem się udać, jéj naléganiem zmuszony.

Wstąpiłem do seminaryjum. Wkrótce potém wracając z kolegijów z pięciu alumnami, jeden z nich stanąwszy przed pewnym domem, powiedział:

»Wstąpmy tu.«

»Wstąpmy«, odezwali się drudzy—»pójdź i ty z nami.«

»A tu co?«

»Odwidzimy kolegę chorego.«

»Niéma czasu.«

»Nie zabawimy się długo, pójdź.«

Poszedłem nic nie przywidując złego, ale gdy ostatni za nimi próg przestępuję, postrzegam się na szynku.

Mnie z lat dziecinnych potrzeba zmuszała do pracy, a praca strzegła od próżnowania, złych towarzystw i lekkomyślności — nie bywałem w takich miejscach; i mocnom się zawstydził tu się znajdując.

Chciałem się cofnąć, ale towarzysze, których bawiło moje zmieszanie, zastąpili mi ode drzwi; kiedy się już mną nabawili, i jedni żądają wódki, drudzy zasiadają do kuflów z piwem, i ja kazawszy sobie dać piwa, dla odwrócenia ich uwagi, nim mi go podano, potrafiłem się wymknąć — wybiegam z domu jak sparzony, i oko w oko spotykam się z prefektem.

Badany, co tu robiłem, nie umiejąc kłamać, a nie chcąc towarzyszy oskarżyć, powiedziałem, żem dla zimna wstąpił na szklankę piwa, a na zapytanie, czy sam byłem, zapewniłem, żem żadnego z kolegów nie widział.

Musiał prefekt poznać mi po oczach, że ostatnie było kłamstwem, mnie na przód wypuścił, sam został i chodził po ulicy, póki nie wyszli z szynku drudzy. Ci myśląc, żem ja ich oskarżył i prefekta na nich nasłał, namówili się i przy badaniu zgodnie wyznali, żem ja ich na szynk zaprowadził i wódką częstował, a sam pierwszy wybiegł, aby ich zdradzić. Świadectwo pięciu wzięto za ważne — i dostałem *consilium abeundi.*

Niewinny, a ukarany, pozbawiony tych widoków, w których matka tak wielkie pokładała nadzieje, ogadany nie tylko w seminaryjum ale między wszystką akademicką młodzieżą za donosiciela, straciłem szacunek współuczniów, na który przez tyle lat zarabiałem, i nawet profesorów przychylność — a w dóm do dzieci nikt mnie już przyjąć nie chciał.

Jedna pani, ze wsi świeżo przybyła, widząc moje świadectwa szkolne, ugodziła mnie do swego syna, ale dowiedziawszy się co za jeden jestem, nazajutrz grzecznie umowę zerwała.

Matce nie śmiałem się pokazać. — We Lwowie nie chciałem zostać. — Jechać do Wiédnia na prawo albo na medycynę, nie było o czém. Wakowało *stipendium* politechniczne — profesorowie nie byli za mną — drudzy kandydaci mieli za sobą zasługi ojców, jedni wojskowe, drudzy cywilne. Szewca syn żadnemi pochwalić się nie mógł. —

Chciałem pójść w służbę mandataryjusza; nie miałem praktyki, a panowie mnie się bali.

Odważyłem się na chyrurgiję — i tu koledzy mnie unikali. Przy piérwszém rozbiéraniu trupa, takie mnie wzięło obrzydzenie i wstręt, że mnie bezprzytomnego z izby wyprowadzono.

W rozpaczy nic mi nie pozostawało, jak wstąpić do wojska. Udałem się nie na werbunek, bo od ostatniéj przygody bałem się szynku jeszcze bardziéj niż przed tém, ale wprost do rotmistrza. Przyjął mnie uprzejmie, cieszył się, że dostaje człowieka z lepszém jak zwykli ochotnicy wychowaniem — zapewnił, że moje wiadomości, osobliwie matematyki i języków, przydadzą mi się w stanie wojskowym, i że w tym stanie szanownym, znajdę dla siebie szczęście i będę za kilka miesięcy podoficerem, a w kilku latach na oficera wyjść mogę, osobliwie jeźli będzie wojna.

Ale gdy przyszedł lékarz pułkowy i mnie opatrzył, znalazł, że mam piersi wązkie, kolana krzywe, i zupełnie się nie zdam do wojska. I znowu byłem bez sposobu do życia.

W takim stanie spotkała mnie propozycyja ze względu na dochód korzystna, którą z oburzeniem musiałem odrzucić — wspomniawszy na biédną, poczciwą matkę i na ojca w podłym stanie żadną niesplamionego podłością. — Wam ją wstydzę się powtórzyć.

Starałem się dostać do jakiegobądź urzędu na dyjurnę, albo do kogokolwiek za pisarza, wszędzie była ciżba.

Kiedy już ostatni grosz za sprzedane suknie, książki i łóżko, dojadam, i mam jutro być wyrzuconym z izdebki pod strychem, za którą nie miałem czém zapłacić, dowiaduję się, że kat szuka nauczyciela do trzech synów, i chce dobrze zapłacić, a nie może znaleźć, bo nikt nie chce uczyć u niego.

Z większym jak na amfiteatr anatomiczny wstrętem wstępowałem w próg jego — ale musiałem go przezwyciężyć; była to brzytwa, któréj tonący mógłem się jeszcze uchwycić. Znajdowałem niejakie podobieństwo z moim losem w losie człowieka bez winy, którego stan wystawiał na powszechną wzgardę. Ten przynajmniéj, myślałem sobie, ojczystych dratew mi nie wyrzuci. Podobało mi się téż mieszkanie dalekie od miasta, i tych wszystkich co mnie dawniéj znali, a teraz znać nie chcieli. Bałem się jednak pierwszego spotkania z tą straszną osobą, któréj widok myślałem, że przerażać powinien.

Przeciwnie — nic przerażającego w nim nie znalazłem, był średniego wieku i wzrostu, silnéj ciała budowy, ale miał twarz łagodną, nawet zwykle uśmiéch na ustach, wzrok pełen dobroci, czoło nie pochmurne, brwi nie najeżone — głos cichy i ruchy nie porywcze. Był pobożny, ludzki, dla dzieci i domowników nie przykry.

Był wdowcem; prócz synów, których wychowywał w domu, bo w szkole inne dzieci uciekały, aby przy nich nie siedzieć, miał córkę od nich starszą, rzadkiéj piękności; chcąc dać jéj wiadomości i talenta, wysłał ją do krewnych opodal do Lwowa, w miejsce gdzie jéj pochodzenie nie było nikomu wiadome, ale po śmierci żony, sprowadził ją do zarządzania domem. Dostał mi się na mieszkanie pokoik z oknem na ogródek, do którego ani dolatywały złe zapachy, anim widział, co się w drugiéj stronie dziedzińca odbywało.

W domu było cicho, porządnie, jadło tak smaczne, jak ja ubogi student nigdy nie znałem. Moi uczniowie byli chłopcy dobre, łatwe do prowadzenia z dobrą chęcią do nauk. Ojciec człowiek prosty, ale rozsądny, miał wiele doświadczenia. I jego wielkie nieszczęścia i zawody w nadziejach, do tego wzgardzonego stanu przywiodły. Oswojony, przestawał na nim i był spokojny.—

Odosobniony od towarzystwa nie tęsknił za niém, ale dzikim nie był, przestawał na swojém małém kole rodzinném, ale rad widział je powiększone moją osobą i prędko się do mnie przywiązał.

Córka kochała ojca, ale im więcéj go kochała, tém boleśniéj czuła ciężącą na jego powołaniu wzgardę powszechną. Przez czas pobytu u krewnych, poznała była przyjemności towarzyskiego życia, a wiedziała, że i te i nadzieja przystojnego wyjścia za mąż, są córce kata odjęte. To uczucie swego i ojcowskiego poniżenia, rozlało po jéj twarzy i całéj postawie jakieś tęskne zamyślenie, które ją czyniło jeszcze powabniejszą, a może i łatwiejszą do przyjęcia czułych, cichych, tajonych wrażeń. Młodzi, dziewiczego serca oboje, ograniczeni na przestawaniu tylko z sobą, pokochaliśmy się wzajemnie. Oboje kochaliśmy po raz piérwszy; miłość nasza była niezmyślona, czysta, bez rywala, bez przeszkód w codzienném widywaniu się, ale też i bez nadziei bliższego się połączenia, bośmy oboje byli ubodzy, a ja bez sposobów utrzymania żony i bez widoków na przyszłość—nie potrzebowaliśmy więc i nie śmieli wyznać sobie miłości, albo ją choć jedném niemém ściśnieniem ręki sobie dać poznać, a przecie wiedzieliśmy o niéj oboje i byli pewni siebie.

Zatrudnienia domowe nie wiele Emilii zabiérały godzin. Nie wychodziła tylko do kościoła, albo na przechadzkę w miejsca mniéj uczęszczane za miasto, z ojcem, z braćmi i ze mną. Miała więc czasu wolnego wiele i miała ochotę do czytania. W wyborze książek ja byłem używany do rady, i wybiérałem tylko dobre.

Te dały Emilii chęć uczenia się więcéj, jak zwykle panienki się uczą.

Jam był jéj nauczycielem, nie trzeba dodawać z jaką usilnością pragnąłem otworzyć jéj pojętność, przelać w nią swoje wiadomości, dać jéj myśleniu i rozumowaniu stałe i pewne zasady, i z jaką chciwością każde moje słowo było chwytane i przetrawione. I sam korzystałem z odosobnienia od świata, czytając wiele, wiele rozmyślając.

Tak upłynęło lat kilka, mile, cicho, pożytecznie—ale kat poczynał się starzéć, czuł upadające swoje siły i spieszył się z postanowieniem dzieci—dwóch synów oddał do wojska, trzeciego wysłał na naukę aptékarstwa do Pesztu. Dawny przyjaciel aptékarz bezdzietny, obiecywał go wziąć do siebie, dokończyć jego usposobienia, a jeźli się należycie prowadzić będzie, przyjąć go za syna i aptékę mu zapisać. Jam odtąd był nie potrzebny w domu.

Rozstaliśmy się z Emiliją w niemym żalu, bez nadziei obaczenia się, z przekonaniem, że szczęśliwi bez siebie nie będziemy.

Tymczasem moi seminarzyccy koledzy, którzy przyczyną byli mojego nieszczęścia, w seminarzyckiéj karności pozbywszy się przywar młodego wieku, wyszli na prawych kapłanów, a przekonawszy się z ust dawnego prefekta o mojéj niewinności, mieli sobie za obowiązek, odwoływać rzuconą na mnie potwarz.

Dwa pisemka treści poważnéj, owoc mojego naukowego zajęcia się w domu kata, których księgarz żaden nabyć nie chciał, a na których wydanie nie miałem funduszu, chodziły w rękopiśmie po rękach, i rozniosły wieść, żem człowiek zdatny, naukom oddany i do prowadzenia młodzieży sposobny. Zapytywano mnie więc z różnych stron, czybym nie podjął się obowiązków guwernera na wsi, i bardzo dobre podawano mi warunki, nie tylko rocznéj płacy znacznéj, ale nawet kapitału do wypłacenia po ukończoném wychowaniu. Byłem téż już w tym wieku, że trzeba było pomyśléć o stalszém utrzymaniu, a tegom sobie po dawaniu lekcyi we Lwowie obiecywać nie mógł. Ale nie znałem ani osób, ani kraju, ani życia na wsi, a przyznaję się, żem miał wstręt od panów i paniczów.

Panicze w szkole nam ubogim studentom okazywali wzgardę, między sobą tylko żyjąc, w osobnéj ławce siadając.—Jednemu przy tępém pojęciu, trudno szła matematyka, pomagałem mu szczérze i bez zapłaty, bo zresztą dobry był chłopiec, wiele mi za to okazywał wdzięczności, byliśmy często razem i pokochali się jak bracia. To braterstwo trwało przez zimę. — Za nadejściem wiosny spostrzegłem, że ile razy chciałem

z nim wyjść, szukał różnych przyczyn pozornych, aby nie iść razem. Nakoniec raz spotkawszy się z nim na bulewarach, chciałem jak w domu wziąć go pod rękę; z nim pochodzić, widocznie uciekł przedemną, a otaczający jego przyjaciele zaśmieli się głośno. Nie można było dać mi wyraźniéj poznać, że szewczyk nie powinien się poufalić z paniczami. — Pani jedna, która w wyborze nauczyciela radziła się mojego profesora, i któréj ten bardzo mnie zachwalał, a na zaletę moją dodał, żem sam się bez przewodnika prowadził i ukształcił, będąc synem ubogiego szewca, zlękła się tego słowa i prosiła o innego, bo syn szewca będąc sam źle wychowany, popsułby jéj dzieci.

Ważąc więc potrzebę na jednéj, a niebezpieczeństwa na drugiéj szali, nie spiesząc się z wyborem, ułożyłem sobie w porze letniéj częścią pieszo, częścią przysiadając się lub najmując furę gdzie można, zwidzieć tyle kraju, ile czas pozwoli. Ufałem w narodową gościnność. Spodziéwałem się we wszystkich stronach i w różnych stanach znaleźć lub towarzyszy nauk lub uczniów moich dawnych, co podróż moją mogło ułatwić i uprzyjemnić, i dać mi wstęp do wielu domów, gdziebym miał przytém sposobność przypatrzenia się nauczycielom domowym i sposobowi, w jaki się z nimi obchodzą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ANIOŁ I PACHOLĘ.

DWU-ŚPIÉW.

PACHOLĘ.

Z kąd-ci ta prawda? z kąd-ci to wesele?
I z kąd się bierzesz, gdzie idziesz aniele?

ANIOŁ.

Do ludzi idę, bo kocham to plemię,
Raj im roztworzę i ozłocę ziemię.

PACHOLĘ.

I z kądże tyle bierze się miłości,
Że śród téj nędzy anioł niebios gości.

ANIOŁ.

Z kąd ziemskim orłom bierze się na loty?
Dziecku na uśmiéch? słońcu na blask złoty?

PACHOLĘ.

I czy zostaniesz już na zawsze z nami?...
Czy znowu będziem i rzewni i sami?...

ANIOŁ.

Spytaj jutrzenki, czy zawsze przyświeca?...
I wód, czy zawsze czysta ich krynica?....

PACHOLĘ.

A jeźli znikniesz, niebieskie kochanie!
I cóż po tobie na ziemi zostanie?...

ANIOŁ.

To co zostało wam po wieszczém słowie,
Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie!

W. P.

Wspomnienia wojskowe.

II.

W sławnych wyprawach Napoleona za każdym maszerującym pułkiem na kampaniją, widziałeś zwykle przy bagażach pułkowych kilka kobiét, pod nazwiskiem markietanek; przy wymarszu z garnizonu, każda z nich musiała uzyskać upoważnienie od dowódcy pułkowego do dzielenia trudów wyprawy, bez tego bowiem z piérwszych stacyj wrócona była do domu, i z téj przyczyny kiedy żołniérze przysposabiali się do marszu, mnóstwo zachodziło intryg między kobiétami garnizonu o uzyskanie tak dla nich pożądanego pozwolenia; zwykle jednak dowódcy pułkowi, nie zważając ani na wiek ani na urodę, dawali piérwszeństwo tym, które dzieląc poprzednicze wyprawy pułku, dobrze się sprawowały i trudno było zaiste wymówić się ostrzélanym amazonkom, kiedy z ognistą wymową stawały w obronie swych praw, wyliczając strawione lata na usługach całego pułku.

Postać, ubiór i umysł tych kobiét, różniły ich zupełnie od innéj płci niewieściéj, zahartowane w obozach, ogorzałe od słońca i niewywczasów, naśladujące zwyczaj i mowy prostych żołniérzy, szczególny częstokroć przedstawiały widok; dzieliły się one na stopnie; i tak widziałeś najzasłużeńsze, a przeto w lepszym bycie, jadące w małych wózkach okrytych cératą, z biczem w ręku; mając na głowie czépek z wielkiémi kokardami; drugie konno przy ostrogach w pantalonach obcisłych, w damskim kapeluszu; inne zaś świéżo przybyłe, przykrywszy lekką sukienkę dołmanem huzarskim lub wielkim spencerem grenadyjera, z utrefionemi lokami biegły piechotą, niosąc baryłkę wódki na plecach, z pewną nadzieją, że po piérwszéj bitwie czeka ich rumak z całym rynsztunkiem; przybiérały one do swego imienia zwykle nazwisko swojego pułku, do którego trzeba wyznać, zawsze szczérze były przywiązane; dla tego o honor pułkowy częstokroć w obozach, do krwawych między niémi przychodziło sprzeczék; nie będąc rozwiązłe, zdradzały często swych kochanków i mężów, gdyż miłość liczyły między ogólne potrzeby żołniérza; wytrwałe na wszelkie trudy i marsze, nad podziw odważne, na kwatérach kłótliwe, te miały cnoty, iż mało dbając o własne zyski, całą myśl zwracały na potrzeby pułkowe, rannym i chorym niosły troskliwą pomoc, a w głodnych chwilach nawet pod ogniem armatnim przebiegały szeregi z żywnością i napojem, i wtenczas za żadne pieniądze nie udzieliły kieliszka wódki żołniérzowi z innéj broni.

Taką była markietanka *Baska* z pułku ułanów polskich gwardyi Napoleona; odbywszy szczęśliwie kampaniję w Hiszpanii i Niemczech, gdzie zawsze wózek jéj był licznie otoczony wesołém żołniérstwem, roku 1812 poszła za pułkiem w kampaniję do Rossyi, lecz tam tak, jak tysiące innych, doznała srogiego losu; w mieście Moskwie po krótkiéj chorobie, straciła męża, który był piekarzem pułkowym, w kilka dni po urodzeniu piérwszego syna, którego z niewymowną radością awansowała na wachmistrza ułanów gwardyi; w nieszczęsnym odwrocie armii francuzkiéj, zdołała stanąć szczęśliwie z swym wózkiem nad brzegami Berezyny, lecz tu nie mogąc się dostać na most z przyczyny strasznego natłoku bezbronnej zgrai maroderów, stała czas długi tuląc swe dziecko do piersi w największéj rozpaczy, a kiedy granaty rossyjskie zaczęły padać śród tych nieszczęśliwych, *Baska* odcina konia od wózka, (bez żalu opuszcza wózek z całym majątkiem) porywa dziecko, a dosiadłszy konia, rzuca się na nim w nurty Berezyny. — Już miała szczęśliwie dostać się na przeciwny brzeg rzéki, kiedy koń zmęczony w wodzie pod nią upada i w téj chwili nieszczęśliwa *Baska* traci swego małego wachmistrza; w takim stanie niedoli skościała od zimna, przyszła wieczorem do pułku ułanów, lecz wszystkie starania żołniérzy, nie zdołały jéj przynieść pociechy.

A tak, kiedy *Baska* codziennie patrzyła na krwią zbroczonych rycérzy, na płonące pożarem grody i na okrytych nędzą mieszkańców obojętném okiem, jedno uczucie matki, wstrzęsło jéj duszę uspioną, zrosiło lice rzewnémi łzami i na całe życie wyryło w jéj sercu smutne wspomnienie! *S. H.....*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 26. i obejmuje: 1) O uprawie kartofli. 2) Porównanie czystego gospodarstwa trój-polowego z gospodarstwem płodo-zmiennem. (Dokończenie). 3) O szczepieniu zarazy pyskowéj i racic u owiec. 4) O fabrykacyi cukru z buraków. (Ciąg dalszy). 5) Wiadomości czasowe.

Ner 13. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Suknia balowa. (Dokończenie). 2) Wiersz: Myśl o niéj, przez L-D-B.

PIŚMIENNICTWO CZASOWE POLSKIE. WARSZAWA.

I. PISMA POLITYCZNE:

1) *Gazeta warszawska.* 2) *Gazeta codzienna.* 3) *Gazeta powszechna.* 4) *Gazeta rządowa.* 5) *Kuryjer warszawski.*

II. PISMA LITERACKIE:

1) *Biblijoteka warszawska*, pismo miesięczne, poświęcone naukom, sztukom, i przemysłowi. Zaczęło wychodzić od stycznia r. 1841 pod główną redakcyją p. A. J. Szabrańskiego. Oddział historyczny piérwsze trzyma miejsce. Rozprawy badawcze z dziejów piérwotnych sławiańskich Maciejowskiego, Richtera, Tyszyńskiego, stanowiły główną część piérwszych cztérech tomów. Drugi oddział: Literatura piękna. Jak każdego czasopisma teraźniejszego najsłabszą stroną jest poezyja, tak osobliwie *Biblijoteki warszawskiéj*. Między mnóstwem zamieszczanych wiérszy, jest przecie i wyjątek dobry. Powieści dobrych czuć daje się brak wielki. Za to oddział filozofii choć rzadko zapełniany, ale w piśmiennictwie czasowém polskiém piérwsze zajmuje miejsce. Augusta Cieszkowskiego rzecz o filozofii jońskiéj, Goltza »Wieś i miasto.« Dziekońskiego »Związek sił żywotnych z organizmem.« »Rozprawy filozoficzne«, p. Eleonory Ziemięckiéj (jakkolwiek w treści i dążności z naszém zdaniem się niezgadzającéj — jednakowo nie bez dość znamienitéj wartości), jakoteż i inne. Do oddziału filozofii policzyć można: »*Historyję literatury niemieckiéj*, p. Libelta, gdyż autor, najznakomitszy estetyk polski, z pojęć filozoficznych wychodzi. Rozprawy prawnicze także ważny i wartość naukową mający oddział *Biblijoteki* stanowią. Krytyka, jak zwykła krytyka wszystkich czasopismów polskich. W panu F. Z. widzimy z zasad filozofii wychodzącego, główną myśl dzieła zgłębiającego recenzenta. Mitologija sławiańska p. Hanusza, zasługiwała na dłuższe i wszechstronniejsze zastanowienie się. W ogóle *Biblijotekę warszawską* z doboru artykułów sądzić nie można; jestto czasopismo na wielki rozmiar redagowane, i choć gdzie niegdzie utyka, przecie wychodząc w sporych tomach, nader obfite w artykuły, słabe strony innémi wybornémi zakrywa i sowicie wynagradza.

2) Obok *Biblijoteki warszawskiéj* zaszczytnie stanąć może *Przegląd naukowy*, pod redakcyją pp. Skimborowicza i Dembowskiego. Wychodzi w kilku arkuszach trzy razy na miesiąc. Rozprawy estetyczne i literackie pana Dembowskiego wyborne — ściśle filozoficzne, dawniéj mniéj dla czytelników zrozumiałe; teraz pan Dembowski jaśniej i zrozumialej się wysławia. Znakomite pióro pana Skimborowicza celuje w bijografii. Rozbiory dzieł zagranicznych z wielką znajomością pisane. Uderzyło nas wytrawne pióro autora krótkiéj rozprawki: »O wychowaniu w ogóle, osobliwie kobiéty.« Pismo to mniej u nas znane, niż zasługuje, przeto późniéj oddzielny mu poświęcimy artykuł. *(Ciąg dalszy nastąpi.)*

Koncert Liszta w Petersburgu. Po stopniach estrady wbiégł człowiek młody, urodziwy, lice jego blade i smugłe — w nim krew węgierska; a na licu głęboko wyryte piekło czucia i namiętności. Włos długi spada mu do ramion... Widziałeś kiedy wizerunek młodego dowódcy pod Arcoli — to wizerunek Liszta. — Grom oklasków rozległ się po sali i zamarł w grobową ciszę. Na piano-orkiestrze zabrzmiała uwertura Wilhelma Tela. Patrz jak pali się lice artysty, — to pons to bladość miga na niém, rosa je oblała, on drży, — łza jedna i druga wyśrébrzyła się z źrzenicy; lecz znagła rozpromieniło się lice, — oschły łzy: — świetny marsz wywołał radość na lice słuchaczy, i wśród szalonych passaży i niesłychanych akordów, skończyła się uwertura — i mistrz zmieniony, blady, zbiegł z podniesienia, ocierając zroszone lice. Znowu echo oklasków obiło się o sklepienia. — On zniżył czoło machinalnie — obłąkanym wzrokiem spojrzał po sali — i poznał, że był nie sam tylko... A wiecież co to jest *Don Juan*, *Standchen*, i *Erlkönig*? Tak, wy wiecie, — są one u was napisane przez mistrza zimnémi znakami — i podług tego sądzicie o nich, jak o myśli i czuciu poety, co je zakuł w kajdany waszéj mowy. Nie, wy ich nie znacie — chodźcie i patrzcie na ten kwiat dziewic, których oko ani jednéj łzy dotąd nie wylało, — jak na ich źrzenicy wystąpiła łza — łza nie bolu i cierpień, łza czysta rajowéj rozkoszy — patrzcie na cztery tysiące słuchaczy, co powstały z miejsc swoich, przysłuchajcie się biciu ich serc — i wtenczas zrozumiecie co to jest *Don Juan*, *Standchen* i *Erlkönig*. Znacie to miejsce czarownéj ballady kiedy król lasu, chcąc zwabić dziecię, śpiewa głosem syreny — nad to miejsce nie znam nic bardziéj czarującego w całej muzyce fortepianowéj, — to roskosz nad wszelki wyraz. A przestrach i krzyk dziecięcia — te

pomieszane olbrzymie akordy—te przejścia tonów niespodziane, gwałtowne — to znowu ciche, melodyjne ukołysywanie dziecka przez ojca, i nakoniec, okropny rozpaczliwy akord, którym się kończy ballada — *Das Kind war todt!!* — I po tém wszystkiém—jak huragan zabrzmiała galopada chromatyczna — korona mechanizmu i harmonji, burza fortepijanu, którą wypowiedzieć nie sposób, i na nic by się nie zdało, bo kto nie słyszał i nie widział, nie uwierzy. Wiém tylko że długie echo, jeden przeciągły okrzyk i grom oklasków, — bezsilny wyraz rozkoszy, był finałem galopady i koncertu. — Mamże dziś skalpelem zimnéj rozwagi, analizować grę mistrza? Mamże opisywać tę niezwyczajną expressyją śpiewu, do jakiéj nie mógł dójść jeszcze żaden ze śpiewaków; ten niepojęty mechanizm z pod którego najdelikatniejsze wymykają się odcienia, i dziwne rodzą się dźwięki; te drobne, ulotne broderje, co niedojrzaną harmonijną siatką drapują śpiew szeroki i pełny; te rozliczne desenie akompanjamentu, wykonywane *pianissimo* dwoma palcami, podczas gdy reszta gra *forte*, a druga ręka *mezzo-forte*; te bystro rozwijające się arpegiowane przez pół klawijatury akordy, których nie możnaby napisać tylko na trzech rzędach linij, nie tak jak pisano na dwóch dotychczas; te gammy *staccato* na najniższych tonach instrumentu; te trudności potworne a ledwo dojrzane w samowładnéj grze artysty-jenijusza? Nie, dziś serce za nadto drży, żebym mógł o tém myśleć i mówić. — Wiém tylko, że List, nie grał na tém co nazywamy fortepijanem — nasze fortepijany to zimne, drewniane pudła. Jak Ole - Bull'owi w Paryżu, nazajutrz po jego koncercie, artyści tameczni, przysłali swoje skrzypce na opalenie jego mieszkania, tak my możemy odesłać do hotelu Conlon'a nasze bezdușzne fortepijany. Tego, czém jest fortepijan pod palcami Liszta, nie było przed Lisztem i nię będzie po nim. Liszt i jego piano urodzili się razem; razem rośli, — i zrośli się, i bez siebie istnieć nie mogą. Wzrok obłąkany mistrza nie spoczywa na klawijaturze—palce jego, co się w nią wpiły, nie zmylą się — bo Liszt i jego fortepijan — to jedno; jedno w nich czucie, jedno serce. On nie gra dla tego, że go grać wyuczono, dla tego, że go słucha Europa: — ale że gra — to pół jego jestestwa, to jego życie — w niéj jego cała dusza i serce... — Słyszałem fortepijan Thalberg'a i Drejszok'a; skrzypce Lipińskiego i Ole-Bull'a, i wiolonczelę Servais — ale nie wiedziałem jeszcze co może muzyka; dziś fortepijan Liszta pokazał cuda, dziś znam moc muzyki, bo miałem łzy w oczach i oddech ściśniony, i widziałem cztery tysiące ludu drżącego za każdym uderzeniem klawisza.

Miejski teatr w Hamburgu. Już od dawna nie uzyskał tu żaden dramatyczny utwór tak powszechnych oklasków, jak przez B. A. Herrmann przełożony francuzki dramat pod nazwą: *Molière*, który po raz pierwszy na tutejszym teatrze przedstawiono. Po każdym akcie przywoływano aktora grającego główną rolę. Życzyć należy, aby ta klasyczna komedyja znalazła wstęp na wszystkich scenach i dla tłumacza, który w strasznym pożarze wraz z drugimi utracił całe mienie, nzyskała przyzwoitą nagrodę; zwłaszcza, że w tym *Molierze* jest taka rola, w której artysta prawdziwie się popisać może.

Malarz chiński. Pewien Chińczyk będący naocznym świadkiem męczeńskiéj śmierci jednego z misyjonarzy chrześcijańskich, był tak mocno wzruszony niezachwianym męztwem tegoż misyjonarza, że przeszedł na wiarę chrześcijańską. Wsiadłszy na okręt popłynął do Europy, i przybywszy jako pielgrzym do Rzymu, zaczął się do malarstwa przykładać. Uczynił w téj sztuce znaczne postępy, a w Londynie wystawiono teraz malowany przez niego obraz, który z poprawnego rysunku i żywego kolorytu powszechnie jest wielbiony. Przedmiotem tego obrazu jest: »*Śmierć chrześcijańskiego misyjonarza*«, któréj on sam był naocznym świadkiem, i która go do przyjęcia wiary chrześcijańskiéj skłoniła.

Ubiór królowéj dzikich ludów. Gdy książę Joinville wrócił z dalekiéj morskiéj podróży, siostra jego, księżniczka Klementyna wymawiała mu, że z krajów, które zwidził, nie przywiózł ubioru młodéj dziewczyny. »Życzyłabym sobie wystąpić w takim ubiorze«, rzekła. — »Życzenie to łatwo spełnione być może«, odrzekł książę; »zarzuty twoje są niesłuszne, gdyż kupiłem istotnie zupełny ubiór królowéj dzikich ludów, która prawie twojego wzrostu była. Jutro ci go przyniosę.« — Nazajutrz książę przyszedłszy, rzekł do siostry: »Uiściłem się w słowie i przybyłem do ciebie.« — »A ubiór?« Książę nie odrzekłszy ani słowa, wyjął z kieszeni osobliwszy, z czerwonych ziarek nasiennych i błękitnych paciorek śklannych złożony naszyjnik, i dał go księżniczce, która przypatrzywszy się mu, przyznała, że pomimo skromnéj prostoty jest dość ładny, poczém położywszy go na stole, czekała co daléj nastąpi. — Książę zaczął tymczasem przypatrywać się obrazowi na ścianie.—»Joinvillu«, zapytała księżniczka, »o czémże myślisz?« — »Czy masz mi co powiedzieć, kochana siostro?« — »Wiadomo ci na co czekam.« — »Bynajmniéj.« — »Przecież na ubiór dzikiéj królowéj.« — »Wszakżem ci go dał.« — »Jako? tylko naszyjnik? A gdzież reszta?« — »Naszyjnik ten był jedynym téj królowéj ubiorem.«

Gdy uwięziono doktora Hayvard, dla tego, że napisał dzieje Henryka IV., królowa Elżbieta, która dla wielu miejsc w tém dziele, bardzo rozgniewała się na autora, zapytała doktora Bakona jednego z swoich radców: »Czy nie wypadałoby doktora Hayvard z powodu tego dzieła o zdradę stanu obwinić?« — »O zdradę stanu bynajmniéj, Najjaśniejsza pani«, odrzekł Bakon, »ale o kradzież!« — »Jako? o kradzież!« zapytała zdziwiona monarchini. — »Nie inaczéj, o kradzież, gdyż on w tém dziele niemiłosiernie Tacyta okradł.«

Zabawne nieporozumienie. Wiadomo, że Ludwik XVIII. był biegłym w łacinie i przytaczał często w mowach swoich cytaty z klassyków rzymskich, mianowicie z swego ulubionego poety Horacego. Jednego razu podczas krytycznych chwil swojego panowania, wezwawszy do siebie wielu ministrów i marszałków, zakończył obradę témi słowy: »A teraz mości panowie idźcie do swego zatrudnienia z mnością i odwagą, czyli jak mówi poeta: *Macte animo*. — Jeden z marszałków, dzielny wojownik z czasów cesarstwa, ale z łacińskim językiem mniéj obeznany jak z kartaczami, zbliżył się w przedpokoju do swoich towarzyszy i oburzony niezwyczajną i niesłychaną popędliwością króla, rzekł: »Tegom się przecie nie spodziewał, nawet Napoleon, z którym miałem niejedną burzliwą scenę, nie używał do swoich sług podobnego wyrazu.« »A cóż-to król tak niegrzecznego powiedział«, zapytali zdziwieni towarzysze marszałka. — »Co powiedział?« odrzekł tenże, »czyliż nie mówił wyraźnie: *»Allons, partez, animaux!«*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.